Rzecz działa się niedawno. W drodze do pięknego zakątka naszego kraju. Do Bieszczad. Weszłam do autobusu. Większość osób w średnim wieku siedziała, kręcąc się na fotelach. Kilka kobiet dość głośno ponaglało kierowcę do ruszenia w nieznany zakątek Polski. Bo tak naprawdę tylko wyjazd kłębił się w ich umysłach. Tak mi się zdaje.

Spojrzałam na starszą kobietę siedzącą przy oknie.

— Czy wolne? — spytałam onieśmielona.

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

— Ojej! Zajęte! A to?

— Nie, proszę pani... Zajęte.

Przeszłam autobus wzdłuż i... Nic! Zajęte!

— Gdzie jest wolne miejsce?! — spytałam donośnym głosem.

Spojrzeli po sobie.

„Do licha! — pomyślałam — wszystkie zajęte? To niemożliwe! A jednak...”

Dziwnie podekscytowana stanęłam z wielka torbą podróżną pośrodku autobusu i uśmiechnęłam się do wszystkich uczestników wycieczki. Nagle powiedziałam:

— To wszystko jest super!

I cmoknęłam.

Nie miałam nic więcej do powiedzenia, poza tym uśmiechem.

Skupiłam się nad pytaniem, czy aby różnorodność zachowań nie jest sednem sprawy i czy ludzkie słabości nie naruszają jakiejś równowagi.

Wtem pani Ula wstała z miejsca — siedziała tuż obok kierowcy i dziwnie podniesionym głosem, czerwona z podniecenia dowodziła, że taka sytuacja jest niemożliwa, a potem powiedziała, że miejsc w autobusie jest tyle, ile trzeba, i że dla wszystkich musi wystarczyć. Na koniec dodała:

— Cholera! Jest tyle osób, ile miejsc w autobusie — pokazując uśmiech numer sześć, że tak powiem, czyli od ucha do ucha.

Zmieszałam się. Prawdę mówiąc, potrafię patrzeć... Nawet liczyć! Miałam, jak na ironię, dobrą matematyczkę w szkole (w podstawówce i w średniaku, nawet wykłady na uniwerku z matematyki były na tyle ciekawe, że zgromadziłam trochę wiedzy z zakresu arytmetyki, nie mówiąc już o rachunku prawdopodobieństwa).

Obejrzałam się dookoła.

— Jak z tym miejscem? — spytałam ponownie... w pokorze rzecz jasna.

Cisza.

Nic!

Groch o ścianę.

Mój wzrok utkwił w siedzącej po prawej stronie przy oknie kobiecie. Podeszłam bliżej.

— Czy tu jest wolne, obok pani?

— Wolne — odpowiedziała spokojnym głosem. — Miała siedzieć pani Ania, ale poszła tam, do przodu, usiąść.

Patrzyła na mnie, jakby miała wyrzuty sumienia, bo przecież jeszcze przed chwilą stanowczo zaprzeczyła, że to oto miejsce jest zajęte!

„Jak niewiele trzeba do szczęścia” — pomyślałam i uśmiechnęłam się do starszej pani najpiękniej, jak tylko mogłam.

Najwyraźniej samo słowo: „WOLNE” wywołało we mnie ogromnąradość. Usiadłam i rozejrzałam się wokół. Wtedy coś mnie podkusiło, żeby powiedzieć:

— Chwała Bogu za wolne miejsce w autobusie!

I podniosłam ręce.

Śmiech rozległ się wokoło. Starsza pani uśmiechnęła się do mnie, ale nieznacznie. Taki sobie uśmiech z wielką niewiadomą… Troszkę z głupiego, troszkę z mądrego.

— A teraz jedziemy w świat — powiedziałam donośnym głosem.

Kiedy starsza pani tłumaczyła się z popełnionej gafy, udałam, że to nieistotne, nieważne. Kobieta zgarbiła się, zmarszczyła czoło i pochyliła głowę. Kąciki ust poszły ku dołowi. Aż wzięła głęboki oddech z tego ciężaru.